

*metryka
- jest w Siedlcach
- s. Maria
- s. Józef
- s. Jan*

~~Jan~~ Danuta Szmigiero, (z domu Rudnicka, ur. 10 maja 1915 roku w Siedlcach.
Matka Jadwiga, ojciec Wacław - urzędnik państwowy, zatrudniony w skarbowości)

Przed wojną mieszkałam w Równem na Wołyniu. Miałam czterech braci. Wszyscy czterej byli oficerami zawodowymi Wojska Polskiego. Jeden z nich, najstarszy, mieszkał w Warszawie. Średni, w 20-stym roku, w czasie walk, został odznaczony krzyżem Virtuti Militari. Następny brat, Zbigniew był w 21 Pułku Ułanów i zginął w Katyniu. Brat najmłodszy, Marian, był w 19 Pułku Ułanów i w czasie ostatniej wojny został odznaczony krzyżem Virtuti Militari i zmarł w Warszawie jako inwalida. Bardzo często był nawet pokazywany w naszej telewizji, omawiając tę walkę, k tórá stoczyły nasze wojska (nie pamiętam dokładnie nazwy tej miejscowości). Najstarszy brat wrócił z obozu i zmarł, a średni brat, ten, który walczył w 20-stym roku, zginął w obozie niemieckim.

Po maturze wyjechałam z Kowla (bo tam mieszkaliśmy, na Wołyniu, tam też kończyłam gimnazjum) do Równego, do brata ^{Zbigniewa} (tego z 21 Pułku Ułanów), gdzie pracowałam i w 1939 roku tam mnie zastała wojna. Ojciec przyjechał do mnie z majątku, gdzie pracował jako administrator.

Kiedy 17 września wkroczyła Armia Czerwona na teren Równego, ~~to~~ wszyscy płakaliśmy, ~~bo~~ zdawaliśmy sobie sprawę, co to oznacza. W tym samym momencie bardzo wielu Żydów powkładało czerwone opaski i zaczęło chodzić po domach gdzie mieszkały rodziny wojskowych (na tamtych terenach było dużo wojska), robiąc rewizje. Chodziło o poszukiwania wojskowych, co było absurdem, gdyż wojskowi byli na froncie. Może znalazły się jedynie nieliczne osoby, większość jednak przebywała z dala od domu. Ci Żydzi zachowywali się skandalicznie. Do nas też przychodzili. Między innymi Żyd, podobno krawiec, z czerwoną opaską na ramieniu, ~~Był tam~~, gdzie moi bracia. Odpowiadałam, że wszyscy są na wojnie i że nic nie wiem. (Jeszcze wtedy rzeczywiście nic nie wiedziałam).

Znamienne było to, że Rosjanie nie przychodzili. Zastanawialiśmy się tylko, skąd Żydzi mieli tak szybko karabiny. W ~~ty~~ czasie pracowałam w centrali telefonicznej, a kiedy weszli Rosjanie kazali nam nadal pracować tak, jak pracowaliśmy do tej pory. Ich stosunek do nas był poprawny. Nie zaobserwowałam

- 2 -

zmian w życiu codziennym i w pracy w momencie zmiany administracji na radziecką. Oprócz kontaktów z Rosjankami w mundurach, (które te zaczęły pracować w naszej centrali) nie miałam styczności z żadnymi innymi Rosjanami. Nas, polską ludność cywilną, najbardziej prześladowali miejscowi Żydzi i Ukraińcy z czerwonymi opaskami na rękawach. Armia Czerwona była gdzieś skoszarowana i nie mieliśmy z nią kontaktu. Pamiętam jedynie ich przemarsz przez miasto. Ubrani byli bardzo nędznie: brezentowe buty, posmarowane smołą i w związku z tym cuchnące, szare czapki (budionnówki) z czerwoną gwiazdą. Wtedy Żydzi miejscowi witali ich z kwiatami.

Ponieważ stale mnie prześladowano rewizjami, kiedy przyjechał do mnie ojciec stwierdziliśmy, że trzeba coś zrobić. Trzeba gdzieś wyjechać. Dowiedzieliśmy się, że we Włodzimierzu Wołyńskim istnieje komisja, złożona z Niemców, która zapisuje osoby chcące się dostać do Polski Centralnej, do Warszawy. Niezależnie od tego, ponieważ mieliśmy w Warszawie rodzinę, zdecydowałam, że musimy pojechać do Włodzimierza Wołyńskiego. Pojechaliśmy tam, wpisano nas na listę. Wcześniej odeszło już trochę transportów. Trzeba trafić, że w tym czasie zgłosiło się wielu Żydów, nieświadomych postępowania Niemców z nimi. Niemcy powiedzieli, że ich nie wpuszczą na teren Warszawy. Wówczas dowiedzieli się o tym Rosjanie, przyjechali na tę komisję i zdecydowali, że skoro Niemcy nie chcą wpuszczać Żydów, to oni nie zgadzają się na wypuszczenie Polaków.

Wróciliśmy do mieszkania (wynajmowaliśmy pokój od właściciela kamienicy) ogromnie zmartwieni, zastanawiając się, co robić dalej.

O trzeciej nad ranem wpadli sowieci (było to 29 czerwca 1940 roku) i wszystkich nas załadowali do wagonu i wywieźli na Sybir. Zostaliśmy wywiezieni z ojcem (mama zmarła wcześniej) z Włodzimierza Wołyńskiego. Z nami została wywieziona moja bratowa z półrocznym dzieckiem i swoją matką oraz siostrą przyrodnią. Kiedy wywożono nas nie mówiono dokąd będziemy wywiezieni. Nie było na ten temat żadnej rozmowy, żadnego tłumaczenia; wystarczyli żołnierze z karabinami. Wiedzieliśmy, że jedziemy do Rosji. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że wywożą nas na Sybir. Podróż trwała prawie miesiąc. Jechaliśmy towarowym pociągami, głównie nocą.

Z moich obliczeń ~~wn~~ wynika, że tym transportem wywieziono około dwóch tysięcy ludzi (w naszym wagonie było 20 osób). W wagonie były prycze (nary), a właściwie po prostu konary drewniane, służące jako prycze.

W czasie tej długiej, bardzo uciążliwej podróży o głodzie (czasem w nocy dawali jakieś zupy, chleba w ogóle nie) zorientowaliśmy się z przereżeniem jaka jest sytuacja. Transport zatrzymywał się tylko na wsiach, z dala od dużych miast i przychodziły do nas strasznie obdarte dzieci i prosiły o chleb. Kiedy ~~raz~~ zatrzymywaliśmy się nocą (trzecią nad ranem) nie mogliśmy wychodzić z pociągu. Wyjść pozwolono nam dopiero w Nowosybirsku i poszliśmy umyć się w rzece, bo wszy dosłownie nas zjadały.

Do 25 lipca 1940 roku wieźli nas transportem, a potem tratwą. Płynęliśmy dłuższy czas rzeką Ob i Czukym. Po drodze nie dawano nam chleba, ani nic do jedzenia z wyjątkiem słonych śledzi. Dotarliśmy tak do Ałtajskiego Kraju, gdzie przy posiołku (osadzie) Załomna wyrzucono nas na brzeg rzeki. Na brzegu czekali na wprowadzenie do baraków, które było widać w pewnej odległości od miejsca, gdzie się znajdowaliśmy.

Ponieważ mój ojciec zaczął już wtedy chorować, poszłam do komendanta obozu, żeby poprosić go o umieszczenie ojca pod dachem, w związku z tym, że na dworze było już wówczas chłodno. Na moją prośbę komendant powiedział: "Niczego, jak nie prażiwiosz, tak padochniesz".

Oprócz chłodu, przed którym staraliśmy się chronić okrywając się ubraniami, jakie mieliśmy ze sobą, prawdziwą plagą były drobne muszki^k, które siadały na twarz i ręce. Ojciec leżał na płaszcach, a my wachlowaliśmy go czym się dało, odpędzając te muszki.

Następnego dnia zobaczyliśmy, że z baraków wychodzą więźniowie (czyli baraki były wypełnione do naszego przyjazdu), idąc gęsiego. Wtedy jedna z pań lekarka, podeszła do tych więźniów, korzystając z tego, że konwojent był na przodzie ciągu więźniów. Byli to Rosjanie o inteligentnych twarzach, którzy dowiedziawszy się, że jesteśmy z Polski litowali się nad nami, mówiąc: "Och, wy biedni, nieszczęśliwi. Wy będziecie się tu tak samo mordować, jak my".

Po wyjściu Rosjan kazano nam zająć baraki po nich. Miały one drewniane da-

chy, jakoś obudowane boki, a zamiast podłogi - klepisko. Kiedy weszliśmy do środka, zobaczyliśmy masę liści, na których spali poprzedni więźniowie. Zaczęliśmy z bratową odgarniać te liście i nagle zobaczyliśmy wężą. Bratowa pierwsza wyskoczyła przez niskie okienko, ja za nią. Poszłam potem do naczelnika i pytam, jak w takich warunkach można żyć? On mi na to odpowiedział tylko: "Niczewo, priwykniesz".

W tym samym baraku byli też mężczyźni, nasi, Polacy, bo jak już mówiłam, było nas w tym obozie około dwóch tysięcy ludzi. Przenocowaliśmy tak jedną noc, na deskach i płaszcach. Potem przywieziono jakieś prycze.

Po pewnym czasie naszego pierwszego naczelnika wysłano na front. ~~Następnym~~ ~~naczelnikiem~~ } Był to Mongoł, niewielki, skośnooki - okropny człowiek. Na jego miejsce wyznaczono nowego naczelnika - Szczurowskiego, którego ojciec, jak się potem okazało, był wysłany na Syberię w 1863 roku. Był on już wobec nas zupełnie inny, ale był z nami krótko, po czym wysłano go gdzieś dalej. Następnie naczelnikiem został znów Mongoł.

Pracowaliśmy wszystkie (z wyjątkiem młodej matki, która ¹ zostawała z dzieckiem w domu) na wyrębie lasu. Trzeba było ścinać wysokie drzewa, przepiłowywać je, popiłować na małe części, porąbać i ułożyć trzymetrowy stos. To była norma. Jeśli nie zrobiło się normy, to nie dostało się chleba. A dawano czterysta gram gorzkiego chleba z jakimiś ziarenkami, a jeśli nie wyrobiło się normy, to tylko dwieście gram. Czasem dawano jakąś zupę.

Ponieważ mój ojciec chorował, więc wieczorami chodziłam do oddalonej o pięć kilometrów wsi i błagałam, żeby mi dano za to, co jeszcze miałam (np. jakąś bluzkę) trochę mleka, żeby można było zagrzać i dać ojcu. Tubylcy okazali współczucie.

Ojciec zmarł 28 lipca. Nie było nawet trumny, żeby można było go w niej pochować. Drzewa leżało mnóstwo, ale nie można było nic wziąć. Wreszcie ubłagałam naczelnika o pozwolenie i jeden z wywiezionych, stolarz, który jakimś cudem miał ze sobą narzędzia, zrobił trumnę. Pochowałam ojca na górze (były tam góry, tuż obok granicy z Mongolią) i niedaleko zobaczyłam zbutwiały krzyż, na którym przeczytałam: Jan Krzyżanowski 1863 rok. Tą samą drogą szliśmy, co

nasz powstańcy...

Wśród wywiezionych byli bardzo różni ludzie, ze wszystkich środowisk. Były tam kobiety samotne, dzieci, starcy. Przedstawiciele różnych zawodów: stolarze, zegarmistrzowie, żony policjantów. Różne narodowości: Polacy, Żydzi, Ukraińcy, wszyscy wywiezieni z Wołynia.

W czasie pracy pilnował nas brygadier, który chodził od jednego do drugiego drzewa i patrzył jak pracujemy. W jakimś momencie strażnik ten zarządził przerwę na papierosa (pieriokurka). Odpoczywali tylko ci, którzy palili, reszta musiała pracować. W związku z tym wszystkie kobiety zaczęły palić; można było dzięki temu oszukać głód i posiedzieć parę minut. Paliła świąteczną machorkę, zawieszoną w gazetę "Prawda". Pracowało się tak od świtu do nocy.

Kiedy nastała wiosna wysłali nas do pracy przy spławianiu drzewa, na rzeczkę Ob. Był tam barak z łózkami, przy czym kobiety i mężczyźni mieszkali w jednej sali. Pracowało się od siódmej wieczorem do siódmej rano i od siódmej rano do siódmej wieczorem - na dwie zmiany. Była to najcięższa praca. Z gór leciały duże polana, z których każde miało nacięcia. Na rzece Ob były wąskie kładki i według nacięć kierowało się drewno do różnych koryt. Stało się w pozycji pochylonej, trzymając kij zakończony hakiem i tym kijem kierowało się polana.

Którejś nocy, gdy akurat pracowałyśmy z bratową, zerwała się potworna burza. Kładki były zalewane wodą. Położyłyśmy się, żeby nie utonąć. Wąziutkie kładki drewniane mogły się zerwać w każdej chwili. Nasze życie wisiało na włosku. Zginęło wtedy około trzystu osób, które nie miały siły się przytrzymać. Wśród potopionych było wielu Żydów, wielu starszych ludzi. Kiedy wróciliśmy po tej nocy do obozu, strażnicy uznali, że nic się nie stało, że im będzie nas mniej, tym lepiej.

Ludzi dziesiątkowały też choroby, np. malaria. Opieki lekarskiej nie było żadnej, żadnych medykamentów. Część ludzi umarło też z głodu i wycieńczenia, zwłaszcza w czasie dużych mrozów. Któregoś dnia, gdy pracowaliśmy rozrzucony po lasach zobaczyliśmy furmankę, na której leżało około trzydziestu

zmarzniętych trupów. Nie wiem, gdzie tych ludzi chowano. Do furmanki nie można było się zbliżyć, bo była obstawiona przez żołnierzy. W takich wypadkach wojskowi często mówili do nas: "I ty padochniesz...". Najgorsi byli właśnie ludzie w mundurach.

W zimie dawano nam pończochy watowane, watowane kurtki i ciepłe czapki. Pracowałam wtedy przy odgarnianiu śniegu, choć mrozy dochodziły do czterdziestu stopni. Odgarniałam śnieg łopatą, robiąc ~~kanal~~ ze śniegu, ~~którego~~ tunel, którego ściany dochodziły do czterech metrów wysokości. Tym tunelem jeździły traktory, wożące drzewo. Musiałam także wozić wodę. Do sanek zaprzęgano byka, a na sankach ustawiano beczkę z gorącą wodą, przez cały czas podgrzewana. Musiałam prowadzić tego byka w taki sposób, by powstawał rowek w śniegu, po którym mogłyby przejeżdżać następnie jednopłozowe sanie, ciągnięte przez traktory.

W tym okresie przeżyłam też pewien nieprzyjemny incydent. Był we wsi sklep, gdzie sprzedawano wodę kolońską. Pod nim tworzyły się kolejki, ponieważ miejscowi tę wodę pili. Naczelnik zaczął poszukiwać kogoś, kto zna rosyjski i mógłby zrobić remenent w tym sklepiku, ponieważ sprzedawca narobił nadużyć. Zgłosiłam się, jako że rosyjski znałam trochę, a poza tym byłam księgową. Po pewnym czasie od zrobienia przeze mnie remenentu, dowiedziałam się, że sprzedawca został osądzony za kradzież jakiejś ilości wody kolońskiej, w związku z czym naczelnik musi mnie zawieźć do sądu, do miejscowości Tajga. Droga dła przez las, 10 kilometrów.

Jechaliśmy sałmi. W pewnym momencie człowiek ten zaczyna się do mnie dobierać. Przerazona myślę, co robić? Powiedziałam mu, żeby chwilę zaczekał. ~~muszę~~ muszę iść do lasu i zaraz wrócić. Było to mniej więcej na ósmym kilometrze. On zatrzymał konia, a ja poszłam w las. Szłam zastanawiając się, co ze sobą zrobić, dokąd iść. Odeszłam daleko od miejsca, gdzie widać było koleiny sał. ~~W pewnym momencie~~ Na szczęście nie leżało zbyt dużo śniegu. W pewnym momencie zobaczyłam stertę kostek z drzewa (przygotowaną dla traktorów z gazogeneratorem; kosteczki służyły do rozpałki pod traktorem). Wkopałam się w to drzewo, modląc się. Po pewnym czasie usłyszałam nawoływania mojego woźnicy,

jest amnestia. Było to w 1943 roku. Wówczas gen. Sikorski i gen. Anders formowali Armię Polską. W związku z tym wszyscy chcieli się do tego wojska dostać. Przypominam, że byliśmy w Altajskim Kraju, 9000 kilometrów od Moskwy. Jak można było się stamtąd wydostać? W zasadzie nie było żadnych możliwości. Wtedy pozwolono nam pojechać do miasta (do Bijska), podjąć pracę, wynająć mieszkanie i po prostu żyć.

Kiedy dostałyśmy się do Bijska, z bratową - podjęłyśmy pracę. Najpierw zaczęłam pracować jako kasjerka (ponieważ wszyscy kasjerzy po kolei kradli - wreszcie wzięto mnie), a potem jako księgową. Wtedy też zachorowałam ciężko na malarię. Przyszła do mnie lekarka, bardzo młoda osoba i stwierdziła niefrasobliwie, że nic nie poradzi, bo potrzebna jest chinina, a tej nie można dostać. Mimo to jakoś przetrwałam tę chorobę.

Pracowałyśmy w pra spółdzielni (było tam krawiectwo, fryzjerstwo, fotografia, zegarmistrz), gdzie prawie wszystkie miejsca pracy zajęli Polacy. Zamieszkałam w Bijsku u gospodyni, która miała męża na froncie i dwoje dzieci, z którymi mieszkała w jednej izbie. Dzieci spały na piecu, a pod piecem były ławy. Ta gospodyni była osobą bardzo dobrą. Nic od nas nie chciała brać, nie wykorzystywała nas. W ogóle ludzie z jakimi spotykaliśmy się w takich stronach, miejscowi, byli dla nas bardzo dobrzy i współczujący. Ludność tę tworzyły rodziny zsyłanych tu od pokoleń zesłańców; przecież nikt nie chciałby dobrowolnie żyć w takich trudnych warunkach. Byli oni ludźmi prostymi, bez specjalnej ogłady i wiedzy o świecie. W związku z tym przypominam sobie pewne zdarzenie zabawne zdarzenie. W tej spółdzielni, był zakład fryzjerski, a w nim fryzjerkami były Polki, które nie były, oczywiście fryzjerkami zawodowymi. Moja bratowa pracowała tam jako manikiurzystka, choć też, naturalnie była w tym fachu amatorka. Ponieważ trudno było dostać lakier, więc brano z pracowni fotograficznej błony, które jakoś zmywano, rozpuszczano w acetonie i dodawano czerwonej farby. Któregoś razu przyszła tam traktorzystka i poprosiła, żeby zrobić jej manicure na wargach. Po chwili dopiero pracujące tam Polki zrozumiały, że chodzi jej o pomalowanie ust tym czerwonym lakierem, bo to się będzie lepiej trzymało. Oczywiście, zdarzenie jest śmieszne, ale trzeba zrozumieć tych ludzi, bardzo prostych, którzy nigdy nie zetknęli się z szeroko ro-

zumiana kulturą. Czasami było nam ich żal, bo przy tym wszystkim byli rzeczywiście bardzo dobrzy. Kiedy stamtąd wyjeżdżaliśmy, dawali nam na drogę wszystko, co mogli.

Jeśli chodzi o pożywienie, to staraliśmy się sobie radzić w różny sposób. Zbierało się na przykład jagodą czerechą, trochę podkradało się żyta, noca, bo były tam pola uprawne. Potem czyściło się to, rozłukiwało kamieniami i z tego robiło się trochę "lepioszek" na nocy, gdy już była taka możliwość. W związku u tym, że pracowałam, dostawałam 400 rubli. Były to, co prawda grosze i prawie nic nie można było za to kupić, ale chodziłam do gospodarzy i od nich kupowałam raz trochę mleka, raz ziemniaków, bo ludzie ci uprawiali jakieś działki. Poza tym, oprócz pracy w spółdzielni, dorabiałam haftując wieczorami dla ~~związku~~ miejscowej ludności. Za to też dostawałam coś do zjedzenia. Nici zdobywałam jakoś i przy prymitywnej, kopanej lampce zrobionej z butelki, do której wlewało się naftę, przytwierdzało blaszkę z otworem i knot, haftowałam bluzki i sukienki. Często byłam po tej robocie cała zakopcona.

Wracając do mojej pracy w księgowości: musiałam kiedyś zrobić bilans. Miałam arkusze szarego papieru, ale nie było atramentu. Ołówek byłby zupełnie niewidoczny. W końcu jedna z księgowych powiedziała mi, że przecież jest na dole henna do malowania brwi. I tą henną pisałam, rozrabiając ją w wodzie utlenionej. Następnego dnia poszłam z tym bilansem do banku, patrzę, a to wszystko zrobiło się jasnożółte, utleniło się. W banku uprzedziłam ludzi, a następnego dnia cyfry zupełnie się utlenia, ale powiedziano mi, że to nie

Pracując w księgowości zaprzyjaźniłam się z główną księgową, która była córką popa. Opowiadała mi, że w 1934 roku przyszli nocą do ich domu, z workiem i do niego wrzucili jej ojca przywiązując kamienie i utopili go w rzece Biji. Tak wtedy wykańczali popów.

Ponieważ tak bardzo się z księgową zaprzyjaźniłam, więc po przyjeździe do Plski napisałam do niej list, który wsadziłam do koperty z podszewką w kolorowe kwiaty. Potem ona odpisała mi, że każda z dziewcząt chciała dostać tę kopertę na własność, bo niczego podobnego nigdy nie widziały. Ten drobny fakt

dobitnie świadczy o tym, jaka była tam nędza i w jakich warunkach ci ludzie żyli.

W pewnym okresie ewakuowano ze Stalingradu artystów, do Bijska. Był tam bowiem teatr. Za czasów carskich musiało to być ładne miasto. Ewakuowani żyli w zupełnie innych warunkach niż my. Dostawali więcej pieniędzy, lepiej mieszkali, lepiej jedli. Z jedną z takich aktorek, śpiewaczką operową, zaczęłam kiedyś rozmawiać. (Było to już w 1944 roku; przeniosłam się do innego mieszkania, ponieważ moja gospodyni czekała na męża). Aktorka ta zaproponowała mi kupno mojego warkocza, a w zamian obiecała cztery kilogramy cielęciny. Nie namyślałam się wcale - przecież tyle lat nie jadłam mięsa. Koleżanka wzięła nożyczki i obcięła mi włosy. Potem kupując dołożyła jeszcze wiadro ziemniaków. Była to ogromna radość. Postanowiliśmy ugotować i zjeść to wszystko na raz. Objadałam się wtedy tak, że myślałam, że się rozchoruję. Potem, już przed samym wyjazdem zachorowałam na tyfus, więc i tak musiałabym obciąć włosy. Chorowałam bardzo ciężko. Na szczęście, wśród wywiezionych był doktor Hofman, który mnie wyleczył. (Po wojnie lekarz ten, staruszek, mieszkał w Gdańsku, gdzie go odwiedzałam). Kiedy po tej chorobie wprowadzano mnie do wagonu, na odjezdnym - ważyłam 43 kilogramy.

Jeśli chodzi o sprawę kontaktu z ~~krzyżem~~ rodziną pozostałą w kraju, to pozwalano nam pisać. Napisałam list, na gazecie, od któregoś z Polaków pożyczym chemiczny ołówek. Oczywiście wysłałam list z Bijska, bo wcześniej nie było absolutnie żadnych możliwości, nie było nawet poczty. Okazało się, że list doszedł. Z kolei do mnie doszła kartka od rodziny. Wszyscy czytaliśmy płacząc.

Moja gospodyni, w Bijsku, dostała od męża z frontu list, który dała nam przeczytać. Było tam napisane, że władze przekonują frontowców, aby wojowali dzielnie, ponieważ i ich rodziny troszczą się władze i rodzinom tym niczego nie brakuje. Była to oczywiście nieprawda; nędza tam była straszna. Kiedy mężczyźni powracali z frontu i zobaczyli w jakich warunkach żyją ich rodziny - myślałyśmy, że dojdzie do rewolucji.

W 1946 roku, kiedy powrócili już z frontu Rosjanie, zaczęto nam ogłaszać,

że będzie transport do Polski. Był jednak problem, ponieważ kazano nam przedstawić jakieś dokumenty na dowód tego, że jesteśmy Polakami. Rzecz jasna, w tych warunkach nikt nie miał żadnych dokumentów. Wtedy prawdziwym cudem było znalezienie przeze mnie wśród moich rzeczy starej gimnazjalnej legitymacji z ósmej klasy, ze zdjęciem. Na tej podstawie pozwolono mi jechać, a także zabrać ze sobą pięć osób. Tym sposobem mogłam wywieźć całą moją rodzinę.

Transport do Polski był 15 kwietnia 1946 roku. Przypominam sobie związane z tym dramatyczne wydarzenie. Pewna Ukrainka, która podała narodowość ukraińską, nie została zabrana (jak zresztą wielu Ukraińców w tej samej sytuacji) i kiedy nasz transport odjeżdżał, tak strasznie rozparzył się, że rzucił się pod pociąg.

Edyr. Na drogę dane nam trochę kiełbasy i chleba, ale była to porcja, którą zjedliśmy w jeden dzień. Na szczęście trochę nas potem karmiono.

Podróż trwała dokładnie miesiąc: od 15 kwietnia do 15 maja. Na stacji granicznej po radzieckiej stronie przeżyłam pewną przygodę. Wyszłam na stację, żeby zabrać wrzątku i trzymałam w ręce czajnik. W pewnym momencie z naszego transportu podbiegał stary Żyd i odpychając mnie wołał, że nie mam się co już tak spieszyć, bo "to już nie wasza Pol'sza, tylko nasza, komunistyczna". Ogromnie się wtedy zdenerwowałam i uderzyłam go czajnikiem po grzbiecie. Zaraz podbiegli Polacy i kiedy dowiedzieli się, jaki jest powód tej egzekucji, sami rzucili się na niego, tak że uciekł szybko do pociągu.

Przypominam sobie też pewne bardzo miłe zdarzenie. Na stacji granicznej, której stacji nie pamiętam, ale było to już po Polskiej stronie, Polacy przygotowali nam powitalny posiłek. Na dworcu stał nakryty ~~z~~ stół i dawano nam chleb z marmoladą i gorącą wodę. Pamiętam też, że zaczęli się do tego stołu pchać Żydzi. Wówczas organizatorzy powiedzieli im, że też dostaną, ale nie tu, tylko na następnej stacji. Szkoda mi ich było, bo to przecież ludzie, ale tyle się przez nich wycierpiało...

Wiedziałam, że rodzina jest w Warszawie i kiedy byliśmy w Brześciu, dałam znać. Kiedy przyjechałyśmy do Warszawy z bratową i córeczką brata (na ul. Wileńskiej), okazało się, że brat wyjechał nam naprzeciw do Białegostoku,

ponieważ dowiedział się, że transporty tartogą przejeżdżają. Gospodyni brata skierowała nas do mojego kuzyna, doktora Rybińskiego. Poszłam tylko ja, a bratowa została z dzieckiem i naszymi rzeczami, które mieściły się w małej, drwianej skrzynce. (Ja na wyjazd dostałam od mojego dyrektora pantofle i zielone pończochy). Ubrana byłam bardzo biednie: miałam stary płaszcz z ogromną łąką z tyłu.

Najpierw zamieszkaliśmy wszyscy u brata, który wynajmował jeden pokój. Później koleżanka, z którą razem byłyśmy na Syberii, napisała do mnie, że przyjechała do Giżycka, gdzie będę miała mieszkanie i pracę, bo to były Ziemi odzyskane. Wyjechałam tam, wyszłam za męża. Pracowałam w biurze Państwowych Nieruchomości Ziemskich, gdzie było zatrudnionych wielu ludzi na poziomie. Moim naczelnikiem w Wydziale Rolnym był inż. Sieroszewski, syn pisarza. Było tam w ogóle sporo inteligencji. Kiedyś siedziałam w sali ogólnej, gdzie przebywało w tym momencie wiele osób z różnych działów i jeden z kolegów pokazuje nam fotografię w gazecie mówiąc, że ten Stalin to burżant, bo pali. Ktoś doniósł i następnego dnia zabrano go UB.

Kiedy zaczęłam pracować w Giżycku wszyscy pytali mnie, jak było na Syberii więc opowiadałam prawdę. Mówiłam o głodzie i ciężkiej pracy. Opowiadałam tylko to, co przeżyłam. Poza to tym wydawało się, że wszyscy ludzie są niewi, zresztą nie bardzo się z tym liczyłam. Któregoś dnia, w pracy dostaję telefon i każą mi się zgłosić na UB. Funkcjonariusz zarzucił mi sianie propagandy antyradzieckiej na terenie biura. Pokazałam mu gazetę, gdzie była informacja, że w Altajskim Kraju wszystkie drogi są wyasfaltowane. Powiedziałam, że to ewidentna nieprawda, gdyż nie ma tam w ogóle żadnych wyasfaltowanych dróg. Wtedy on zagroził mi więzieniem, w przypadku, gdybym dalej mówiła źle o przyjaciółkach.

Następnego dnia mojego męża, który pracował tam gdzie ja, jako inspektor kontroli, wysłano w delegację do Kętrzyna. Okazało się, że ledwie wysiadł z pociągu zabrano go do aresztu, za to, że był w AK. Zaczynały się wtedy przesładowania AK-owców. Ja zupełnie nie wiedziałam, co się z nim stało, czekałam na niego i wtedy przyszli w nocy i zrobili mi w domu rewizję. Potem męża zamy-

kano co chwilę, notorycznie, tak że nawet nie wiem ile razy siedział. Zamknęli go też w czasie referendum, żeby nie głosował. Wtedy też cały nasz urząd wyprowadzili z budynku i przetrzymali w tym samym celu.

Były to najokropniejsze czasy, bo tam, na Syberii, człowiek wiedział, że jest w obcym kraju. A to działo się w naszej Polsce, do której jechało się z takim entuzjazmem...

I N D E K S N A Z W I S K

- Rudnicki - zawodowy oficer Wojska Polskiego, przed wojną mieszkał w Warszawie, w czasie wojny był w obozie niemieckim. Zmarł po powrocie z obozu. (Najstarszy brat pani Szmigiero).
- Rudnicki - zawodowy oficer Wojska Polskiego, brał udział w wojnie 1920, odznaczony krzyżem Virtuti Militari, w czasie II wojny zginął w obozie niemieckim. (Średni brat pani Szmigiero).
- Zbigniew Rudnicki - zawodowy oficer Wojska Polskiego, służył w 21 Pułku Ułanów, zginął w Katyniu. (Średni brat pani Szmigiero).
- Marian Rudnicki - zawodowy oficer Wojska Polskiego, służył w 19 Pułku Ułanów, w czasie II wojny odznaczony krzyżem Virtuti Militari, zmarł po wojnie w Warszawie jako inwalida. (Najmłodszy brat pani Szmigiero)
- Wacław Rudnicki - przed wojną urzędnik państwowy zatrudniony w skarbowości, wywieziony na Sybrię, zmarł w Altajskim Kraju, Nowosybirskaja Oblast', osada Załonna, dn. 28 lipca 1940 roku, (Ojciec pani Szmigiero)
- Szczurowski - w krótkim okresie pełnił funkcję naczelnika obozu na Syberii, w Altajskim Kraju, Nowosybirskaja Oblast', osada Załonna; syn polskiego zesłańca 1863 roku.
- Hofman - lekarz, jeden z zesłańców na Sybrię; po wojnie już nie mieszkał w Gdańsku.